

Gość Niedzielny



Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na Niedzielę ośmienastą po Świątkach

Lekcja.

I Kor. I. 4—8.

Bracia! Dziękuję Bogu mojemu zawsze za was z łaski Bożej, która jest wam dana w Chrystusie Jezusie; iż we wszystkim staliście się bogatymi w nim, we wszelkiem słowie i we wszelkiej umiejętności. Jako świadectwo Chrystusowe utwierdzone jest w tak, iż wam na żadnej łasce nie schodzi, oczekiwającym objawienia Pana naszego Jezusa Chrystusa, który też was umocni aż do końca bez winy w dzień przyjęcia Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Ewangelja.

Mat. IX. 1—8.

W on czas: Wstąpiwszy Jezus w łódkę przewiózł się i przyszedł do miasta swego. A oto przynieśli mu powietrzem ruszonego, na łożu leżącego. A widząc Jezus wiarę ich rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj Synu, odpuszczając się grzechy twoje. A oto niektórzy z Doktorów mówili sami w sobie: Ten bluźni. A widząc Jezus myśli ich, rzekł: Czemu myślicie złe w sercach waszych? Cóż jest łatwiej: rzec: odpuszczając się grzechy twoje? czyli rzec: wstań, a chódź? A iżbyście wiedzieli, że moc ma Syn człowieczy na ziemi odpuszczać grzechy, tedy rzekł powietrzem ruszonemu: Wstań, weźmij łożę twe, a idź do domu twego. I wstał i poszedł do domu swego. A ujrzawszy rzesze bały się, i chwaliły Boga, który dał takową moc ludziom.

Macocha

(Podług węgierskiego.)

Pewnego właściciela ziemskiego w naszej okolicy spotkało nieszczęście, utracił bowiem żonę w chwili, gdy dała życie dziecinie. Pochowano ją i oplakano, a

mały ładny chłopczyna jak pączek w rozkwicie, pozostał sierotą bez matki.

Wawrzyn Gathy — tak się ów właściciel nazywał — miał u siebie starą ciotkę; ta po pogrzebie stanawszy nad kołyską wylewała resztę łez gorzkich, które jej jeszcze pozostały, mówiąc przytem:

— Moja ty biedna mała sierotko, co się z tobą stanie? Bez troskliwej macierzyńskiej opieki, przyjdzie ci marnie zginąć.

— Co się z nim stanie? — powtórzył ojciec drżącym głosem i dodał zarazem: wyrośnie na prawego i uczciwego człowieka. Nie lękaj się dziecino moja, będziesz miała matkę!

— Nie będzie to jednakże prawdziwa matka, mój drogi siostrzeńcze! Prawdziwa matka spoczywa w grobie, a ta, którą w dom twój wprowadzić zamysłasz; pozostanie zawsze tylko macocha, choćbyś jej złote wstążki wplatał we włosy!

— A ja ci mówię, ciociu, że moje dziecko będzie miało prawdziwą matkę.

— Gdybyś posiadał moc wskrzeszania umarłych, wtenczas bym ci uwierzyła.

Gathy nic na to nie odpowiedział. W kilka dni po tej rozmowie zabrał dziecinę z sobą do Pesztu i zostawił ją tamże. A że był człowiekiem zamkniętym w sobie i poważnym, nikt nie śmiał go zapytać, gdzie umieścił syna, wzruszano tylko ramionami mówiąc: przygotowuje miejsce dla drugiej żony.

I rzeczywiście, zaledwo trzy tygodnie upłynęły, Wawrzyn Gathy pojął za małżonkę siostrę swego rządcy, Barbarę, najładniejszą wdówkę z całej okolicy, a w rok niespełna przybył do domu drugi synek.

Pani Gathy nie opuściła jeszcze swego pokoju, a mąż wyjechał znów do Pesztu, zabierając z sobą nowonarodzoną dziecinę, aby ją tam zostawić. Ludzie kiwali z podziwieniem głowami, pytając: co to znaczy? zaledwo dał im Bóg dziecko, własny ojciec usuwa je z domu!

Podczas gdy świat ze zdumieniem nad tem się zastanawiał, w komnatach stare-

go gmachu Gathy, rozlegały się przerażliwe skargi i płacz gorzki. Młoda matka rozpacziała nad rozłączeniem się z dzieckiem, prosiła, błagała, groziła rozwodem i przeklinała okrutnego ojca.

— Oddaj mi moje dziecko! Co zrobiłeś z moim dzieckiem? — wołała tonem rozdzierającym serce.

Atoli dziwny ten człowiek pozostał niewzruszony.

— Dziecko twoje jest pod dobrą opieką, mówił — zobaczysz je kiedyś z pewnością. Lecz dziś nie badaj mnie daremnie, i nie naprzykrzaj się prośbami, gdyż przeciw temu jestem silnie uzbrojony. Złożyłem ślub przy zwłokach mej pierwszej żony i dotrzymam go święcie.

Tak upłynęło lat pięć, długich jak wieczność, pełnych męczarni dla kochającego serca matki.

Pani Barbara w tym czasie próbowała rozmaitych dróg i środków, lecz nie doprowadziły one do celu. Okrutny ojciec pozostał niewzruszony. Jeździł wprawdzie często do Pesztu, w odwiedziny do dzieci, lecz żony nie zabrał nigdy z sobą, musiała się tylko zadowolić wiadomością, że chłopcy dobrze się miewają. Nadszedł wreszcie dzień, w którym Gathy powiedział swej żonie:

— Przygotuj się na wielką uroczystość, Barbaro, gdyż jutro wyjeżdżam do Pesztu i przywiezę ci chłopców.

Uszczęśliwiona matka rzuciła się z okrzykiem radości mężowi na szyję. Te kilka słów zatarły w jej sercu całą gorycz upłynionych lat pięciu. A jednakże jakiej to rozkoszy pozbawioną była przez te lat pięć! Lata pierwszego rozwoju dzieciny! Pierwsze słowa, które ona wymawia, są w rodzinie przedmiotem rozmów całotygodniowych; gdy malec się uśmiechnie, cały dom uradowany, jak gdyby słońce wiosenne ukazało w oknach swe promienie. A cóż dopiero, gdy się na głos rozśmiej, to wszystkie rozkosze świata nie dadzą się z tem porównać.

I to te lata najszcześniejsze wymazał Gathy z życia swej żony, a zarazem i ze swego życia. Atoli zapomnianem zostało to cierpienie, gdy zajechał powóz, a silne ramie ojca wyniosło dwóch ładnych i wesółych chłopczyków.

Matka bijąc sercem wybiegła na ich spotkanie. Jak błyskawica padło jej spojrzenie z jednej twarzyczki na drugą, badając i przypatrując im się z przestraszaniem.

— Mamusiu — zawołał jeden chłopczyka, rzucając jej się na szyję.

— Mamusiu — mówił drugi, czepiając i schylając jej się do kolan.

Uściskała i ucałowała obydwóch. Który pocałunek był słodszy? zadawała sobie pytanie, wpatrując się w nich.

Paweł było imię jednego chłopczyka, drugiego Władysław. Z wzrostu i postawy byli do siebie podobni, a nawet i w rysach twarzy mieli wielkie podobieństwo. — Różnicy lat nie było znać po nich.

Nachyliwszy się do ucha męża zapytała trwożliwie:

— Który z nich jest moim synem? — Powiedz!

Gathy roześmiał się w głos i odpowiedział:

— Co za zabawne zapytanie, obydwaj są twoimi synami...

— Lecz który z nich jest moim rodzonym synem?

— Nie troszcz się o to wcale. Dla tego chowałem dotychczas obydwóch zdala od domu, abyś ich równo kochała i dla żadnego nie była macocha, ale matka.

— Pomyśl, co czynisz!

— Długo nad tem myślałem. Miej cierpliwość, aż dojdą do lat dwudziestu; wtedy, gdy opieka matki nie będzie im już potrzebna, do wiesz się prawdy, nie przedziej.

Taką była wola tego nieugiętego człowieka. Cóż innego pozostało biednej kobiecie, jak obydwóch równo kochać i otaczać ich równą opieką. Uczucie macierzyńskie jednakże nie spoczęło ani na chwilę; gotowa do walki, dniem i nocą obserwowała chłopców, chcąc dostrzedz podobieństwo do siebie. Niekiedy zdawało jej się, iż zrobiła odkrycie, przy którym serce jej żywej uderzyło: to moja krew, pomyślała; szkoda tylko, że czasami jej się zdawało, że Paweł, to znów, że Władysław jest jej synem.

Chłopcom było z tem dobrze. Rośli i rozwijali się. I oni wiedzieli już o tem, że jeden z nich jest tylko pasierbem, lecz który?

Pewnego razu Gathy zachorował, żona jego chciała korzystać z tej chwilowej słabości, aby dowiedzieć się prawdy.

Zacząła błagać męża, zarzucając go pochlebstwami.

— Powiedz, najdroższy, który jest moim własnym synem, ulituj się nademną! Przysięgam ci w obec Boga Wszechmocnego i na pamięć mej matki, że tylko ja sama będę znała tę tajemnicę, jemu nie dam poznać tego!

— A zatem dobrze, jeżeli tak się zaklinasz, dowiesz się prawdy.

W tej właśnie chwili wszedł do pokoju Paweł.

— To jest twój syn — wyszeptał Gathy.

Barbara powstała natychmiast, porwała chłopca w objęcia, okryła twarz jego pocałunkami, głowę przycisnęła do piersi i głaskała jego blond włosy. Przy obiedzie na przysmaczek już Paweł dostał większe jabłuszko, dla Pawła głębiej nóż zanurzył się w kołacz, wieczorem grając w piłkę, stłuczono szybę, stało się to z winy Władysława, chociaż wszystkie pozory za tem przemawiały, że Paweł był sprawcą złego.

Tak upłynęło kilka dni, aż wreszcie Gathy z niechęcią odezwał się do żony:

— O! kobieto, kobieto!

— O cóż chodzisz? — zapytała.

— Twoje postępowanie, Barbaro, jest śmieszne. Lecz wszystkiście wy takie! Tylko jedną strunę poruszyłem w twym sercu, a natychmiast wyszła na jaw niezgodność tonów; i pokazała się w tobie nie matka, lecz macocha. Żle przeżyłaś próbę!

— Jaką próbę?

— Z dziećmi. Czy rzeczywiście uwierzyłaś, że ci prawdę powiedziałem? Postanowiłem, że, który z chłopców pierwszy wejdzie do pokoju, oddam ci go jako twego własnego syna.

— Okrutny, oszukałeś mnie — zawołała p. Gathy z najwyższym gniewem.

— Być może; atoli czy i ty nie zwiodłaś mnie, przyrzekając, że będziesz obydwóch równo kochać? A natychmiast zaczęłaś zaniedbywać Władysława, fortując Pawła. Jesteś złą i fałszywą, Barbaro.

Raz zwiedziona nie miała odwagi nastawać o wyjawienie prawdy, chociaż jej to bardzo na sercu leżało. Wiedziała, że byłoby to napróżno. Pocieszała się nadzieją na przyszłość, kiedy upłynie lat dwadzieścia, prawda się wyjaśni.

Tak rok za rokiem mijał, lipy starego zamku okrywały się zielenią, chłopcy wyjeżdżali do szkół i wracali na wakacje, bez zmiany przez lat wiele, aż pewnego razu, napróżno serce macierzyńskie wyglądało ich powrotu, z ławy szkolnej poszli on i wprost, tam gdzie kwitną krwawe róże, te kwiaty, które bożek wojny porosiewał na pobojuwiskach. W walce o niepodległość, zginął śmiercią waleczną jeden z synów Gathyego. Sam tylko Władysław powrócił pod dach ojcowskiego domu. W owych czasach nikt się temu nie dziwił, przeciwnie uważano to za łaskę nieba, jeżeli z dwóch braci jeden został przy życiu.

Cieszono się z powrotu bohatera i w ciichości nie jedną łzę poświęcono pamięci zmarłego. I serce matki pocieszało się nadzieją, że syn jej ocalał, ale co za okropność, gdyby się to okazało nieprawdą. Gathy milczał jeszcze ciągle. Cekał on dnia oznaczonego, t. j. skończenia dwudziestego roku. Pewnego razu wszedł z uroczystą miną do pokoju żony i w te odezwał się słowa:

— Barbaro! czy wiesz, że dzisiaj jest dzień ważny dla ciebie?

— Co takiego? — zapytała, nie podnosząc wzroku od roboty, haftowała bowiem koszulę dla Władysława.

— Dziś kończy się lat dwadzieścia.

— Na te słowa pani Barbara zdretniała, serce zamarło jej w piersi, krew uderzyła do głowy, za chwilę zbladła jak ściana.

— Cóż ztąd? — zapytała ponuro. — Gathy wyjął z kieszeni pakę papierów.

— Chcę dotrzymać słowa — masz prawo dowiedzieć się, który z chłopców jest twoim własnym synem.

Jak iskrą elektryczną podniesiona, skoczyła pani Barbara i położyła dłoń na ustach męża.

— Milcz — zawołała z trwogą. — Nie chcę nic wiedzieć. I nie pragnę, abym się kiedykolwiek dowiedziała.

Położyła swą białą rękę na czole i wyszeptała z cicha:

— Niech mi przynajmniej pozostanie złudzenie, że jestem matką własnego syna.

— Słusznie mówisz, Barbaro — odpowiedział po namyśle Gathy.

— Lecz co począć z temi papierami?

— Wrzuć je w ogień, proszę cię o to.

A właśnie jasny płomień widniał na kominku, Gathy wrzucił węgiel papiery; objęte ogniem wybuchnęły jasnym blaskiem, który oświecił oblicze matki żywym blaskiem, gdy mówiła: „teraz sam tylko jesteś w posiadaniu tajemnicy, już jej nie zdradzi żaden papier“.

— Wprawdzie ja, który to zdarzenie opisuję, znam tajemnicę, lecz jeżeli matka nie była ciekawą, to i czytelnicy nie potrzebują wiedzieć prawdy.

Chodzi tylko o to, aby każda macocha brała sobie ztąd przykład, a skoro wzięła na siebie obowiązek wychowywania obcych dzieci, wychowywała je tak, jak gdyby była ich własną matką, bo kto bierze na siebie tak ważny obowiązek, a nie wypełnia go sumiennie, będzie za to przed Bogiem odpowiadał.

Przez krzyż do prawdy

(Zdarzenie prawdziwe.)

Zwykła to droga Bożej Opatrzności, że kogo Bóg chce podźwignąć i zbawić, tego biczuje i chłoscze, przeprowadza przez ogień i wodę doświadczeń, aż go uczyni jasnym jako złoto, a podatnym woli Bożej niby glina garncarska w ręku mistrza biegłego.

Mały Bogumił leżał chory śmiertelnie.

Doktorzy orzekli, że koniec się zbliża.

Smutek jego matki był wielki.

A jeszcze większy był smutek ojca jego.

Czemu? Czy ojciec więcej go kochał?

Nie — ale ojciec wiarę utracił...

Matka tymczasem płakała jak matka — nad konającym swoim dzieckiem — ale bynajmniej nie rozpaczała. Wiedziała, że choćby i umarł jej Bogumił, zobaczy go przecież z tamtej strony mogiły, aby się już nigdy z nim nie rozłączyć. — A zacna pani Bogna — takie ma imię matka Bogumiła — i mężowi swemu pragnęła nieba

przychylić. Modliła się też gorąco a często o jego powrót do wiary.

Ale doktor Olecki — tak się nazywał ojciec Bogumiła — o wierze nie myślał, „modlitwą się nie bawił“, kościół go nie obchodził, o Boga się nie troszczył, niebo zostawił dla sierot. Z którejże więc strony mogłaby mu dzisiaj przyjść jaka pociecha! Stoi więc przy swem dziecku — on, doktor, bezradny

A dziecko się znaga ze śmiercią.

W całym domu panuje głębokie milczenie. Tylko słaby jęk dziecka przerywa od czasu do czasu tę ciszę, jęk, co w sercu matki brzmi niby jęk dzwonu pogrzebowego. Ojciec, zmiażdżony, patrzy na swoje dziecko, śledzi groźny postęp choroby — a w sercu skupia ból własny i dziecka i matki.

Słońce się chyli ku zachodowi.

Doktor wygląda śmierci dziecięcia.

Żona jego pada na kolana, w ręku trzyma różaniec, modli się kornie, a wzrok utkwiała w swem dziecku.

Wtem chory poruszył wargami, znak dając, że ma coś powiedzieć.

Napnęli ucha ojciec i matka.

Chory do ojca się zwrócił.

— Ojcie! — ozwał się głosem słabym, ledwie uchwytnym — ojcie mój drogi, podaj mi krzyżyk!

Ojciec podał mu krzyżyk.

Bogumił wziął krzyżyk do ręki, przycisnął do serca, ucałował ukrzyżowanego na nim Pana Jezusa, wpatrywał się weń chwilę, a potem, podając krzyż ojcu, dodał z tklivością:

— Tateczko, i ty ucałuj Ukrzyżowanego!

Bóg widać myśli taką podał dziecinie...

Ojciec nie odmówił pobożnej prośbie syna swojego. Ukląkł, i klęcząc ucałował ukrzyżowanego Jezusa. — I Jezus w tej chwili odpłacił mu hojnie. Oświecił mu rozum, przypomniał mu anielskie lata młodości, zmienił mu serce.

Skorzystała z pory pobożna małżonka. Ujęła męża za ręce, utkwiała weń wzrok swój błagalny, i prosi.

— Mężu mój drogi! mój ty jedyny! mój złoty! przysięgnij mi oto, że, jeżeli Bóg uzdrowi nam dziecko, pójdzie i ty ze mną do spowiedzi, przystąpisz i ty ze mną do Stołu Pańskiego.

— Przysięgam — rzekł doktor.

I zdjęło go wielkie wzruszenie. Łzy trysły mu z oczu, łzy słodkie, na których jako na fali odpłynęły wszelkie uprzedzenia do wiary, łzy, co mu zawieruszone omyły sumienie, łzy, co marnotrawnego syna wróciły przed miłościwe Boga oblicze.

Mały Bogumił wyzdrowiał.

Ojciec obietnicy dotrzymał.

Dzisiaj on wzorem chrześcijanina.

Przez krzyż prawdę zobaczył.

Przestroga

Dajże spokój robaczkowi,

Nie czyn krzywdy biedakowi;

On w skromniutkiej swej sukience

Życie Boskiej winien ręce...

Pan Bóg z nieba wysokiego,

Mile patrzy się na niego;

On to dobry i łaskawy

Żyć mu każe pośród trawy,

On go wiedzie między zboże,

Gdzie nasycić głód swój może...

Gdy pragnienie znowu czuje,

Krople rosy mu wskazuje;

On mu daje radość, życie,

A więc daj mu spokój, dziecię!

Józef Chmielewski.

Złe książki

Pewien Anglik, nazwiskiem William Weald, kupiec, przez swą rzetelność, uczciwość i pobożność zyskał sobie ogólne u wszystkich poważanie i wdzięk.

Ożenił się z panną z dobrego rodu, i podobnie jak on pobożną i ząca, a przytem pełną dobroci, powabu i wdzięku.

I błogosławił im Bóg tak w zawodzie kupieckim, jak i w pożyciu małżeńskim. A czworo ślicznych dzieci uprzyjemniało im trudy, jakie łożyli w starannem ich wychowaniu i wykształceniu.

Słowem — pan William był dobrym ojcem, dobrym małżonkiem, dobrym kupcem, dobrym człowiekiem. Państwo Wilianiowie byli stadłem dobranem — byli szczęśliwą rodziną.

Zazdrościli im wszyscy.

Pozazdrościli i djabeł.

Pogodne niebo zaszło obłokiem.

Sprawy kupieckie szły coraz gorzej.

Pan William względem rodziny stygł jakoś i obojętniał. Stał się ponurym. Szukał samotności — a czytał namiętnie.

Co czytał?

Czytał jak najgorsze piśmidła, piśmidła, które sączą z siebie jak i truciznę zabójczą, które nurtują serce i rozum, które podkopują pobożność i wiarę...

I William stracił wiarę, przestał się modlić, przymysłność ludzi co się obchodzą bez Boga i wiary. Człowieka uważał za ożywioną maszynę, nad którą mocniejszy ma prawo.

Wnet się też ujawniły skutki takich poglądów. Jaka krynica, taki i ruczaj...

Pewnego pięknego poranku posłał pan William swą służbę do swego przyjaciela z listkiem krótkim.

„Przyjacielu — stało tam w liści — proszę cię, przybądź niebawem do mnie. Zobaczysz, jak wielka zaszła tu zmiana, od czasu, kiedyś był u mnie po raz ostatni. Twój William Weald“.

Przyjaciel pismo odebrał, przeczytał, wyczytał coś więcej niż napisano, bo drgnął cały, skoczył w dorózkę i pędził. Dojechał, wyskoczył, wpadł do mieszkanka swego przyjaciela Wiliana — — za późno...

Straszna tu zaszła zmiana istotnie!

Zamiast sześciu osób przyjaznych, uśmiechniętych, widzi przed sobą sześć trupów!... O zgrozo!... Sześć trupów, ciepłych jeszcze, drgających jeszcze, broczących jeszcze w krwi własnej. Przecież żona Wiliana i śliczne dzieci jego — leżą na posadce porabane — poćwiartowane. Leży i William, a obok niego rusz-

nica, miecz i siekiera. I ze wszystkich ciał posiekanych krew jeszcze się toczy i tryska i bryzga. Obryzgała ściany, sprzęty, podłogę. Istne jatki!

O Boże! co za straszny widok!!!...

William, nie chcąc mieć przeszkody w dokonaniu swej zbrodni, wysłał z domu służącą — niby to z listem. A sam tymczasem siekierą i mieczem zarabiał na śmierć swą żonę — swe dzieci — a w końcu sam sobie z rusznicy w łeb pałnął.

Człowiek to czy zwierzę!?!

Takim go uczyniły złe książki!...

Stał się krzyk, zgiełk, harmider.

Zbiegły się tłumy.

Włosy stają na głowie. Straszny płacz i jęk i ryk zgrozy rozdziera powietrze. Jedni mdleją, drudzy uciekają od przejmującego widoku, a inni szukają przyczyny.

Znaleźli.

Półki pełne ksiąg najgorszych, obrzydłych, jadowitych — istna trucizna szaleju, która w nim obudziła tę dzikość zwierzęcą.

Przybyli sędziowie.

Po stanowczem rzeczy rozpatrzeniu potępił pamięć Wiliana. Zwłoki jego kat rzucił do kałuży błotnistej. Księgi jego kat spalił na stosie.

A jego żona i dzieci?

Patrz, tam na cmentarz niosą pięć trumien — jedna duża, cztery małe. Przed trumnami krocza księża, i nuca żałobnie. Za trumnami ciągną rzese — któż je polichczy? Nie słysząc śpiewu kapłanów, nie słysząc modlitwy, jeno słysząc jęki straszne, płacz i narzekanie.

Wracają z pogrzebu.

Przytuliła się żona do męża i mówi:

— Oj, mężu mój mężu! Zerwij ty już raz ino z tymi czerwonymi towarzyszami, a ich żydowskich piśmidel nie czytaj!

Przytuliła się siostra do brata i mówi:

— Braciszku mój złoty, nie czytaj złych książek!

Wierne serce

Wierność jestto wytrwała życzliwość i skłonność do tego, co się raz uznało za dobre i cenne. Wierność nie pozwala porzucać przyjaciela, cokolwiek na niego przypadnie i nie chwieje się w obec jego niedomagań. Przyjaciel jest człowiekiem, jak my, dla tego nie możemy w nim szukać doskonałej istoty, jeżeli go nie kochamy z jego słabościami i mimo ich, to w ogóle nie kochamy go wcale. I jego ułomności stanowią problem naszej życzliwości dla niego. Ileż to związków przyjaźni ludzie zawierają i przyrzekają wierność w szumnych słowach! Jakże łatwo czyni to młodzież, zwłaszcza, gdy stąpa po kwiatach i myśli, że tak zawsze pozostanie. Młodzi wolą iść tą ścieżką przyjemną życia we dwójkę, niż sami, serce ich wzbiera uczuciem, a przyrzeczenia z ust płyną obficie. Że wierność obowiązuje do dotrzymania towarzystwa, gdy droga przyjaciela zaczyna się zaścielać cier-

niami, o tem nie myślą wcale. Już po krótkiej przestrzeni ukazują się rozstajne drogi i niespodzianie jeden z towarzyszy życiowych znajduje się na wąskiej ścieżce w bok głównego traktu.

Szczęście samo nie nosi na sobie znamienia wierności. Dzisiaj rozdziela bogactwa, jutro cofa swoje dary, dzisiaj sygnie kadzidła i rzuca wawrzyny, jutro strąca w wyżyn sławy. Jak to ciężko i trudno znosić takie zmiany szczęścia. Ale opuszczony, przez zmienne szczęście, ogląda się za przyjaciółmi, którzy przyrzekli wierność do grobowej deski, przekonany, że oni potrzebującemu udziela pomocy, rozbitkowi podadzą dłoń ratującą go, wprowadzą go na nowe drogi, że staną w jego obronie, gdy inni lżyć i na niego napadać będą, że nie będą za wstyd uważali stać przy wzgardzonym, choćby sami jedni. Ale gdzież są ci, którzy szli ręką w rękę po szerokiej drodze życia? Pozostali w tyle ze szczęściem, a nie-
szczęśliwy kroczy sam jeden po swej ścieżce mozolnej.

Mówią o wierności, że ona już na ziemi nie istnieje. Niejeden tego doznał i to było najostrzejszym kolcem nieszczęścia, który mu utoczył wiele krwi serdecznej. Ale, chwała Bogu, nie zawsze tak się dzieje i są jeszcze ludzie, których przyjaźń wzrasta w nieszczęściu przyjaciela, którzy starają się wyjąć to ostrze z rany, chociażby mieli sami skaleczyć ręce przytem. Już niejednego przyjaciela ocalił, a gdy sam mu nie mógł nic udzielić, to jednak z nim płakał i bolał i tży jego były jakoby balsam na ranę.

Kto ma takiego przyjaciela, jednego jedynego, gdy inni sobie odeszli, bo szczęście się odwróciło, ten nie jest najbiedniejszym i ma powód nawet błogosławić nieszczęście, które mu wskazało, kto jest jego rzetelnym przyjacielem. A choćby nas wszyscy opuścili, to Bóg nas nie opuści, ponieważ pozostaje wiecznie tym samym, wiernym, o dotrzymuje tego, co przyrzekł.

HENRY CARNOY.

Legenda

Podajemy, za jednym z autorów francuskich ciekawą legendę bretońską, osnutą na tle bohaterskiej i tajemniczej postaci króla Artura. Tem podaniem tłómaczą sobie wieśniacy dziwne i niezrozumiałe szmery i głosy, rozlegające się podobno co czas jakiś — bez widocznej przyczyny — w pewnych okolicach Bretanii.

Było to dawno, dawno temu.

Pewnego dnia, gdy król Artur był ze swymi możnymi towarzyszami na polowaniu, zerwał mu się nagle z pod nóg prawie ogromny, niezwykle piękny daniel.

— Naprzód, naprzód, niema drużyno! — zawołał grzmiącym głosem rycerski król Armory. — Rzucił się w pogoń za zwierzęciem i niebawem rycerze, gierniki, paziowie, służba i psiarnia byli na tropie jelenia.

— Holla, holla — krzyczeli towarzysze

królewscy. Szybka niezwykle była ich jazda, lecz szybczym jeszcze bieg zwierzęcia. Zdałoby się, patrząc na daniela i myśliwych, że strumień górski, lub lawina pędzą w dolinę z piekielnym hałasem.

Już zielone głębiny boru ustępują stepom, i znów — innym lasom i innym różninom, a jeleni, jakby z każdą chwilą nowych sił nabierał, mknął dalej przed pogońią myśliwych. przesadza jednym skokiem pnie drzew, wyrwanych przez huragan, skały, strumienie i krzaki, zagrządzające mu drogę.

— Hallo, holla, hallo — krzyczą wciąż rycerze Okragłego Stołu.

— Naprzód, naprzód, niema drużyno — powtarza ich król.

Tak pędząc, jak fale wzburzonej rzeki, wpadają na pole biednego wieśniaka.

— Panowie, miłościwi panowie — woła biedak! Rzucając się do stóp króla Artura, — Litości, łaski! Moja ziemia, to jedyna żywicielka moja, moje bogactwo! Cały rok zraszałem ją potem przy pracy, orałem jesienią, siałem wiosną i teraz, gdy ziarno mam zebrać, twoje zastępcy tratują mi je, Królu! —

(A daniel ucieka...)

— Precz, nędzniku — krzyczy król — naprzód, naprzód, niema drużyno!

I szybko jak wichler, zastęp myśliwych przebiega chłopskie pole, tratując zbiory biedaka.

— Hallo, holla, hallo! —

A jeleni mknął, mknął, a za nim tętni galop prześladowców, krzyki służby i hałaśliwe dźwięki rogów.

Zatrzymał się jeleni dopiero w ogrodzeniu wdowy, wyrobnicy... za nim zastęp myśliwych.

— Łaski, jaśni panowie, litości — jęczała biedna kobieta. Ten ogród żywi moje dziecko ukochane, czyż macie serce grzedy pustoszyć? —

(A daniel ucieka znowu...)

— Precz kobieto! —

I znów zastępy runęły.

Naprzód, naprzód, wierna drużyno!

A jeleni, zdawałoby się, że skrzydła miał — mieli je też chyba gońcy — rycerze Okragłego Stołu.

Pogoń rzuciła się teraz za zwierzęciem w dolinę Argunawu, podnosząc obłoki kurzu we wściekłym galopie koni.

— Holla, hallo, jeleni słabnie! —

Biedne zwierzę pada wyczerpane na płytę kamienną kapliczki, gdzie pustelnik jakiś trwał w modlitwie gorącej i żarliwej. Święty człowiek spojrzał zdumiony, podniósł się z klęczek i własnym ciałem osłonił szlachetne zwierzę.

— Królu Arturze! Waleczni rycerze! W imię Wszechmocnego — zatrzymajcie się! Ten jeleni jest pod opieką Boga — żali Mu go wyrzecie? —

Lecz król Artur nie posiadał się już z gniewu.

— Precz, precz — krzyczał.

— Królu Arturze! Nie przejdiesz! —

Ale już król w furji szarpnął czcigodnego starca za sędziwą brodę.

— Dobrze! Chciałeś tego, niech będzie — rzekł pustelnik. Wbrew Bogu chcesz

apolować daniela. Będiesz więc polował na niego całą wieczność — bez wytchnienia, bez spoczynku. Idź, Królu Arturze! Jedźcie, waleczni rycerze. Jedźcie, aż do wypełnienia się wieków. Jesteście przekleci!

Zaledwie pustelnik wyrzekł te słowa — daniel uniósł się do nieba, a za nim prześladowcy jego popędzili hen wysoko, w podniebne krainy i niebawem zniknęli zupełnie...

A dziś jeszcze mówią bretończycy — podczas letnich, księżycowych wieczorów — dziwy, dziwy słyhać: gwar dalekiego polowania, niewyraźne rzenie koni, hałas wściekłego galopu, nawoływania służby, klątwy i bluźnierstwa, mieszaną się z posępnym żalonym głosem rogu.

— Hallo, holla, hallo — wołają setki niewyraźnych głosów.

— Naprzód, naprzód, niema drużyno — brzmi głos królewski.

I wieśniacy żegnają się nabożnie: to polowanie wieczne, polowanie Króla Artura, polowanie w sferach podniebnych — bez wytchnienia, bez końca, bez osiągnięcia cudownego jelenia, którego Rycerze Okragłego Stołu ścigali, nie troszcząc się o zbiory wieśniaka, ogród biednej wdowy i powagę kaplicy czcigodnego pustelnika.

Tłóm. J. Ch.

Wesoły kącik

Szczere powińszowanie.

Robotnicy zgromadzili się w celu złożenia powińszowań swemu panu, obchodzącemu jubileusz.

Pan. No, jak się macie moi kochani. Życzę wam, abyście zawsze byli uczciwymi...

Robotnicy (nie dosłyszawszy tego życzenia). My panu też! My panu też!

W szkółce.

— Jeżeli chłop idzie pół mili na godzinę, to jak daleko zajdzie pięciu chłopów przez pół dnia?

— Zajdą aż do karczmy.

Wymówienie.

Pan: (do wieśniaka): Słuchajże, stary, jakże, będzie jutro pogoda, czy nie?

Wieśniak (spojrzawszy na niebo): Jutro będzie zapewne pogoda, albo też niepogoda.

Dosłownie pojęte pokrewieństwo.

Gdy Lloyd George był przedstawicielem Anglii w Lidze Narodów zgłosiła się delegacja jednego z plemion murzyńskich z prośbą o poparcie ich żądania przyjęcia ich w grono członków Ligi:

— Krew aglio-saska płynie w naszych żyłach, — rozpoczął swoją mowę przewodniczący tej delegacji. Na to skoczył Lloyd George oburzony:

— Jakim sposobem? — zawołał.

— Siedmdziesiąt lat temu rozbił się u wybrzeży Afryki statek angielski. Plemię nasze zjadło całą załogę. Czyż tedy nie płynie w nas naprawdę krew anglo-saska — zapytał tryumfalnie murzyński delegat.

Na to już nie było odpowiedzi.